Nadzieja

Polak, warszawianin z Mokotowa, porucznik z baonu Zośka, po upadku powstania warszawskiego znalazł się na robotach w Norymberdze. Ciężko pracował na kolei. Był listopad 1944 roku. Hitlerowskie Niemcy były w odwrocie na wszystkich frontach. Więźniom oflagu Niemcy przestali wydawać posiłki. Sami otrzymywali niewielkie racje żywnościowe i to nieregularnie.

Było późne popołudnie, gdy nastąpiło coś, co rozbudziło w nim wiarę i nadzieję. O tym, co zdarzyło się pewnego listopadowego zmierzchu opowiedział tak:

Było straszliwie zimno i wiał wiatr. Naprawialiśmy tory, będąc jeden od drugiego w tak dużych odstępach, że nie widzieliśmy się. Byłem straszliwie przemarznięty, wycieńczony i głodny. Nie miałem już sił wbijać kilofem długich gwoździ w drewniane podkłady. Usiadłem na torach. Zaczął padać śnieg. Duże jego płatki zaczęły wirować wszędzie i po krótkiej chwili wokół było biało. Łokcie wsparłem na kolanach, twarz przysłoniłem dłońmi. Oczy miałem zamknięte. Zacząłem się modlić, choć nie widziałem dla siebie ratunku. Byłem u kresu sił.

I wtedy, będąc w jakimś półśnie, ujrzałem moją mamę Łucję. Pamiętałem ją tylko z fotografii. Umarła na tyfus podczas epidemii w Wilnie, w 1925 roku, gdy miałem zaledwie roczek. Lekko uśmiechała się do mnie. W rozpaczy zwróciłem się do niej o pomoc. Nie wiem, jak długo to trwało. Gdy się ocknąłem, na moich kolanach ujrzałem duży bochenek świeżego, jeszcze ciepłego chleba. Popatrzyłem wokół – nadal samotnie siedziałem na torach, a w zasięgu wzroku nie było widać nikogo. Świeży śnieg pokrył równą warstwą całą okolicę. Nie zobaczyłem na nim śladów niczyich stóp. Byłem wciąż sam. Zrozumiałem, że stało się coś bardzo ważnego. Rozpłakałem się ze wzruszenia i radości. Cały drżałem. To był znak. Mama była przy mnie. Wiara dodała mi sił.

Copyright©Wojciech.Wilczynski